

Nasz felieton

Sadystyczna masakra wiertłem dentystycznym

Te myśli naszły mnie, kiedy musiałam zapisać się na wizytę w gabinecie stomatologicznym. Czułam się, jakbym dobrowolnie podpisywała cyrograf, którego konsekwencje będą bardzo bolesne...

Zastanawiam się, czy dentyści mają życie prywatne. Chyba nie. Nie wiem, kto byłby w stanie zaprzyjaźnić się z osobą tak obojętną na ból drugiego człowieka. Może przebywając w towarzystwie są inni, bardziej mili, empatyczni, udają pracowników pizzerii albo coś. W tym wypadku lepiej kłamać na swój temat, by nie odstraszyć znajomych.

Przyjrzyjmy się powołaniu zawodowemu dentyistów. Dlaczego robią to, co robią? Pierwsza odpowiedź, która przychodzi mi to głowy po wyjściu ze stomatologicznego gabinetu to sadyzm. Tego lekkiego szyderczego uśmiešku, kiedy mówią: "Jeszcze tylko troszkę zaboli i po sprawie" chyba nie da się nie zauważyć. Niektórzy, ci z lepszymi umiejętnościami aktorskimi, potrafią opanować mięśnie twarzy, ale i tak widzę ten błysk w oku, kiedy sięgają po następne wiertło. Ciekawe, czy powstał jakiś horror o dentyście. [przerwa na research] Powstał. Niejeden nawet. No to chyba mój lęk przed nimi można jakoś wytłumaczyć.

Dużo się słyszy o zarobkach stomatologów, które przewyższają moje kieszonkowe o jakieś 12000%. Pewnie dla niektórych to jest powód, dla którego wstają rano do pracy i z uśmiechem

narażają się na ugryzienia przez nadpobudliwe dzieci (a może to masochizm?).

Czy istnieje możliwość, że ktoś robiłby to w sprzeczności ze swoim sumieniem, tylko i wyłącznie dla zarobków? Raczej nie, czyli musi w tym być coś ciekawszego niż pieniądze. Zapytałabym o to jakiegoś dentyistę, ale nigdy nie miałam nieszczęścia żadnego poznać.

Pewnie znajdzie się gdzieś w dalekiej krainie, za lasami i górami jakiś stomatolog z powołania, ale sama myśl o jego 'coming-oucie' w obecności rodziny wydaje mi się śmieszna. "Mamo, tato, chcę wam coś ogłosić. Przeszkadzają mi dziury w zębach innych ludzi. Zamierzam poświęcić swoje życie, by zaklejać je dziwnym szarym betonem"- tak prawdopodobnie brzmiałaby jego przemowa. Na miejscu rodziców zaczęłabym się zastanawiać, gdzie popełniłam błąd (albo ucięłabym jak najszybciej wszystkie kontakty z owym beznadziejnym przypadkiem). Tutaj mała uwaga: rozumiem o wiele bardziej ortodontów, bo im chodzi bardziej o estetykę i oni raczej nie sprawiają nikomu bólu. No... przynajmniej nie bezpośrednio.

Na szczęście jednak te demoniczne rozważania o psychopatach w białych fartuchach nachodzą mnie tylko około raz na pół roku. Potem oczywiście wracają. I myślałby kto, że następnym razem podejść do nich dojrzałej, ale sama siebie zadziwiam, kiedy po raz tysięczny wracam do domu z miną zbitego psa i datą kolejnej wizyty w terminarzu.

~Mięta

My recenzujemy, Wy recenzujcie

Kochani, z przyjemnością dzielimy się z Wami opiniami o książkach, filmach, grach i czekamy na Wasze propozycje. W tym numerze książka, którą warto przeczytać – „Oskar i pani Róża”. Znaćcie?

12 dorosłych ról dziesięcioletniego Oskara

"Oskar i pani Róża" to powieść napisana w 2002 roku, przez Erica-Emmanuela Schmitta. Jest to krótki, bo zawierający zaledwie 72 strony, utwór epistolarny, czyli napisany w formie listów, których nadawcą jest Oskar, a adresatem Bóg.

Oskar to dziesięcioletni chłopiec, umierający na białaczkę. Mieszka w szpitalu. W przeszłości podpalił swojego kota, psa i prawdopodobnie całe mieszkanie. Uważa swoich rodziców za kompletnych idiotów i nawet nie wierzy w istnienie odbiorcy swoich listów. Pani Róża to starszuszka, pomagająca jako wolontariuszka w szpitalu. Jest bardzo mądrą kobietą, która potrafi znaleźć wyjście z każdej sytuacji i ma za sobą karierę zapaśniczki. Szybko się ze sobą zaprzyjaźniają, wspierają się nawzajem, dyskutują, dostrzegają wady innych i dają sobie rady.

Pani Róża, zdając sobie sprawę ze stanu zdrowia chłopca, opowiada mu legendę o dwunastu ostatnich dniach grudnia. Na jej podstawie z tych dni można odgadnąć pogodę na dwanaście miesięcy następnego roku. Kobieta proponuje Oskarowi zabawę, która polega na udawaniu, że każdego dnia dla chłopca mija dziesięć lat. I tak 20 grudnia bohater dojrzewa i ma

rozterki miłosne, a 21 staje się odpowiedzialny i bierze ślub. Następnego dnia, 22 grudnia, dobiegając trzydziestki, kłóci się z teściami i rodziną. W taki sposób w ciągu dwunastu dni Oskar ma okazję patrzeć na świat z wielu różnych perspektyw. Chłopiec codziennie pisze list do Boga, mimo że nie zna Jego adresu. Na początku wcale w Niego nie wierzy. Zmienia się to dopiero dzięki pani Róży, która mu o Nim opowiada. Chłopiec utożsamia się Chrystusem, widząc, przez jego wizerunek na krzyżu, że nawet On musi cierpieć.

Różnica między cierpieniem fizycznym a duchowym to jeden z problemów poruszanych w książce. Kolejnym z nich jest rzadko podejmowany i trudny problem relacji rodziców z ich chorym dzieckiem, rodziców, którzy boją się choroby i nie lubią przebywać w towarzystwie osób chorych, bo te przypominają im o śmierci.

Problemem poruszonym bezpośrednio w ostatnim, czternastym liście, jest śmierć dziecka, która zawsze wzbudza wiele emocji i powoduje w nas uczucie bezradności i niesprawiedliwości. W tej powieści ten motyw został złagodzony opiniami głównego bohatera na temat życia. Oskar doceniał i cieszył się z niego, mimo że los nie był dla niego łaskawy, bo nauczył się pojmować choroby jako fakty, a nie kary.

W tej książce najbardziej urzekł mnie brak jakiegokolwiek patosu. Dziecięca szczerość i prosty język, jakim posługuje się Schmitt, opowiadając o przeżyciach swojego bohatera, dodaje postaci realizmu i trafia do czytelników lepiej niż głębokie metafory. Chłopiec mówi o własnej śmierci i brwiach doktora Dusseldorfa z takim samym dystansem, co sprawia, że kończąc książkę, miałam równocześnie łzy w oczach i uśmiech na twarzy. Powieść jest prosta, nieskomplikowana i

łatwa w odbiorze, ale porusza wiele problemów i skłania do refleksji, dlatego polecam ją wszystkim, by każdy miał szansę dostrzec, jak dziesięcioletni chłopiec potrafi podejść do wielu spraw o wiele dojrzałej niż my sami i większość dorosłych.

-Mięta

Czas na film...

„Wilcze Dzieci”

Animowany film pt. „Wilcze Dzieci” powstał na podstawie mangi Mamoru Hosody: „Ookami no kodomo Ame to Yuki” (Dzieci wilka: Ame i Yuki). W polskich kinach ukazał się rok temu, a w letnie wakacje był emitowany w polskiej telewizji.

Osobiście oglądałam go trzy razy. Za pierwszym razem mimowolnie popłakałam się, za drugim wrażenie popsuł mi lektor... (i tak płakałam), a trzeci raz śledziłam przygody bohaterów z sentymentem. Jak to możliwe?

Myślę, że film zawdzięcza swoją niepowtarzalność wielu szczegółom. Zaczynając od rysunku - stonowanej i delikatnej kreski, przez idealnie dobranych seiju (aktorów głosowych), po zachwycającą ścieżkę dźwiękową i zaskakującą fabułę.

Yuki, czyli dziewczynka będąca dzieckiem kobiety i wilkołaka opowiada o tym, jak jej rodzice się poznali oraz o barwnym dzieciństwie zarówno jej samej, jak i młodszego brata (Ame).

Jak można się domyślać - życie hybrydy nie należy do najłatwiejszych. Wystarczy jedno tupnięcie nóżką, by stać się małym wilczkiem i na czterech łapach przemierzać pokój. Jakby tego było mało, sąsiedzi nie przepadają za hałaśliwymi

„psami”, a opieka społeczna - za nieszczepionymi dziećmi.

Podczas gdy matka Ame i Yuki dwoi się i troi, by zapewnić im porządną byt, nieubłaganie nadchodzi czas, gdy rodzeństwo musi wybrać: dom lub las. Być człowiekiem, a może wilkiem? Film wciąga od samego początku, jednak dopiero w tym momencie zaczyna się prawdziwy problem. No bo przecież skąd dziecko może wiedzieć, że jego ludzcy rówieśnicy wcale nie zbierają zdechłych żab czy węży albo szkieletów myszy? Nikt mu też nigdy nie wspominał, jak bardzo przerażająca potrafi być szkoła.

Los rzuca kłody pod nogi jakże niecodziennej rodzinie. I wydawałoby się, że nagle wszystko magicznie się odmieni - „no bo przecież to bajka”. Jednak niespodziewane zwroty akcji to podstawowy element tej opowieści.

Ludzie, którzy na co dzień oglądają tego typu produkcje, a także ci, którzy natrafili na ten tytuł przez przypadek, niezależnie od wieku i płci są podobnego zdania: „nawet jeśli nie przepadam za tym gatunkiem, z chęcią obejrzę to drugi raz”.

Janka

Niezwykły wywiad

Drugie oblicze mordercy

Shoug Makishima czy raczej Makishima Shougo - jak nakazuje kultura japońska (najpierw podajemy nazwisko i nie odmieniamy) - ten już dorosły mężczyzna urodził się w rzeczywistości, w której Ziemia jest pogrążona w chaosie. XXII wiek to okres pełen krwawych wojen niszczących wszystkie kraje z wyjątkiem Japonii. Jest to jedyne tak kontrastujące z resztą cywilizacji państwo - ludziom żyje się dostatnio, średnia popełnionych przestępstw jest bliska zeru. A to wszystko zasługa biura bezpieczeństwa, a dokładnie Systemu Sybilli.

Ów system jest zdolny do zbadania czyjeś stanu psychicznego – liczby, które go określają, to „Psyho Pass” i końcowo przedstawia się je w barwach. Jeśli czyjaś barwa pociemnieje - od razu izoluje się go od społeczeństwa i kwalifikuje do poprawy. Pozostali ludzie mają prawo do robienia wszystkiego, co SYSTEM określi jako „odpowiednie dla nich”. Dotyczy to zarówno wyboru szkoły, kierunku studiów, jak i partnera życiowego. O dziwo - ludzie są szczęśliwi, że z ramion został im zdjęty ciężar decyzji. Istnieją też takie jednostki jak pan Shougo - anarchiści. Makishima nie jest osobą wykrytą przez system, a jego poczynania sięgają o wiele dalej niż niejednego seryjnego mordercy naszej rzeczywistości...



Dlaczego nie żyje pan według zasad i norm Systemu Sybilli?

Po prostu uważam, że cały ten system to bzdura. Dla mnie ludzie, którzy nie działają wedle własnej woli, są bezwartościowi. A ludzie podlegający zasadom systemu właśnie tacy są. Dają się prowadzić przez życie z zamkniętymi oczami... Nawet nie powinienem powiedzieć, że przez życie, ponieważ oni go nie mają.

Jeżeli ma pan takie zdanie o człowieku w swoim świecie, to kogo uważa pan za wartościowego?

Bardzo cenię sobie osoby, które zawsze działają wedle własnych zasad. Mógłbym rozmawiać z nimi przez całe wieki. Kiedy poznaję kogoś takiego, staram się jej słowa przeistoczyć w czyny, dając nienawidzącemu nóż i dostęp do obiektu nienawiści. Daję mu wolność.

Czy takie postępowanie nie łączy się z zaburzeniami psychicznymi, które tępi System Sybilli?

Niestety, jak najbardziej. Wszyscy moi współpracownicy po jakimś czasie osiągają barwę krytyczną i zostają wyeliminowani przez biuro bezpieczeństwa.

Tylko współpracownicy? A co z panem?

System Sybilli wymierza mój Psyho Pass jako jeden z wzorowych. Przez to biuro bezpieczeństwa nie ma prawa mnie aresztować, co dopiero odizolować czy zabić. A to tylko dlatego, że dla systemu jestem niezdolny do popełnienia przestępstwa.

„Dla systemu”? Czyli w rzeczywistości nie jest to prawda?

Nie powiem, zdarzyło mi się zabić kilkanaście osób <wzrusza ramionami>.

Mówi pan to z taką lekkością... Jakim cudem nie jest pan jeszcze wśród osób odizolowanych? Oszukuje pan system co do swojej barwy?

Nie ma potrzeby, bym bawił się w takie oszustwa. Jak rzekł Szekspir: „*Mówisz, że kochasz deszcz, a rozkładasz parasolkę, gdy zaczyna padać. Mówisz, że kochasz słońce, a chowasz się w cieniu, gdy zaczyna świecić. Mówisz, że kochasz wiatr, a zamykasz oczy, gdy zaczyna wiać*”. Ja po prostu jestem przeciwieństwem takiego człowieka - robię, co myślę i myślę, co robię. W pełni się z samym sobą zgadzam, dlatego też System Sybilli nie jest w stanie zarzucić mi zaburzeń psychicznych.

Japonia jest jedynym krajem na świecie utrzymanym w pokoju. Czy aby na pewno dobrym rozwiązaniem jest sabotowanie dającego taki stan rzeczy systemu?

Nie chodzi jedynie o system bezpieczeństwa społecznego, lecz o to, że ludzie bezopornie dali się prowadzić sztucznej inteligencji w każdej dziedzinie życia. Mało kto chociażby próbuje być oryginalny, większość uważa sztuczny świat Sybilli za prawidłowy. To jest właśnie rozwiązanie, którego ja nie mogę przyjąć.

Jeśli mógłby pan usunąć z codzienności sybillę, jaki wykonałby pan następny krok?

To bardzo dobre pytanie. Sądzę, że najzwyczajniej usunąłbym się w cień i obserwował. Moja rola by dobiegła końca, a ludzkość musiałaby sama na nowo odnaleźć swoje miejsce.

Dziękuję Panu za rozmowę.

Debiuty

Otwieramy cykl „Debiuty”, w którym publikować będziemy Wasze próby literackie. Wszystkich Gimnazjalistów zachęcamy do dzielenia się swoją twórczością (informacje dostępne w bibliotece szkolnej). Prace publikowane w szkolnej gazecie wezmą udział w konkursie, którego rozstrzygnięcie ogłosimy w czerwcu.

Dzisiaj prezentujemy opowiadanie pt. „*To nie jest baśń*” autorstwa Oli.

To nie jest baśń

W odległej krainie, po drugiej stronie oceanu, mieszkał król z żoną. Nazywał się Filin. Był okrutnym człowiekiem, ale jedynie wtedy, kiedy sięgał po alkohol. Wiódł życie pijaka, choć na tyle bogatego, by mieszkać w pałacu. Królowa bardzo go kochała i przebaczała mu wszystko z miłości. Byli małżeństwem od ponad pięćdziesięciu lat, lecz nie mieli dzieci.

Pewnego dnia żona Filina dowiedziała się, że jest w ciąży. Nie cieszyła się z tego powodu. Nie chciała mieć dzieci. Gdy nadeszła noc porodu, w całym pałacu zaległa cisza. Służący udali się do swych pokoi, król siedział samotnie w sali tronowej, a królowa została w swych komnatach wraz z najbliższymi i najbardziej zaufanymi

służkami. Myślałby kto, że kiedy dziecko ujrzy światło dzienne, wszyscy będą się weselić. Nic bardziej mylnego. Nazajutrz każdy chodził ze spuszczoną głową i nikt się nie odzywał. Królowa urodziła dziewczynkę o imieniu Arys, która okazała się okropnym utrapieniem dla rodziców. Jej płeć była problemem, ponieważ w królestwie oczekiwano następcy tronu. Poza tym córka królewska była szkaradna: nie miała lewej nogi, a jej twarz szpeciła ukośna blizna. Król przeraził się, że takiej kobiety nikt nie będzie chciał za żonę, w związku z czym żadne polityczne małżeństwo nie wchodziło w grę. Matka nienawidziła Arys, ale niechętnie wychowywała ją na królewskim dworze, dbając, by królewna nie pokazywała poddanym swego oblicza. Tak córka Filina osiągnęła wiek szesnastu lat.

Pewnej nocy król wyprawił ucztę. Sięgnął po trunki i w trakcie pijackiej furii przedstawił gościom swe jedyne dziecko, wyśmiewając je i poniżając. Dziewczyna z płaczem uciekła z pałacu do pobliskiej wsi i przebrana w szaty wieśniaczki zapukała do drzwi karczmy. Otworzyła jej właścicielka gospody, młoda kobieta o silnych ramionach. Arys zapytała, czy mogłaby nająć się u niej do pracy. Kobieta nie tylko pozwoliła jej przejść przez próg, ale też zamieszkać na strychu; wiedziała, że tajemnicza nieznajoma to córka Filina. Dziewczyna pomagała, sprzątała i gotowała dla karczmarki, by spłacić dług wdzięczności.

Niedługo potem na królestwo jej ojca spadły nieszczęścia. Powodzie i wylewy rzek dręczyły mieszkańców. Największą krzywdą dla krainy króla Filina była śmierć jego żony, która jako jedyna powstrzymywała go od codziennego upijania się. Władca stał się szaleńcem, którego mózg nigdy nie trzeźwiał. Poddani z utęsknieniem i niecierpliwością szukali kogoś, to obaliłby rządy

Filina i zabił go, kogoś, kto przeprowadziłby rewolucję w ich krainie. Podjęli decyzję o tym, że każdy z nich miesięcznie będzie oddawał jedną złotą monetę do skarbcza ukrytego pod ziemią, a kiedy znajdzie się ów bohater, który ich wyzwoli od tyraństwa, ten skarb będzie jego własnością. Udało się uchronić uszy króla przed tą informacją i nie dowiedział się o złocie czekającym pod ziemią, ale dotarła do niego wiadomość o przyszłym buncie obywateli. Postanowił w tajemnicy zebrać armię, by wykorzystać element zaskoczenia. Zwerbował ponad dziesięć tysięcy wojowników z sąsiadujących królestw. Od tej pory nikt nie czuł się bezpiecznie.

Kilka lat po śmierci królowej do państwa przybyła wojowniczką z dalekiego kraju. Wszyscy widzieli w niej przywódczynię rewolucji i tylko właścicielka gospody wiedziała, że to jedynie przebrana za żołnierkę Arys. Ludzie zaczęli wierzyć w bliską śmierć Filina i przyszłą wolność. Dzięki swojej charyzmie córka królewska doskonale zagrzewała lud do walki. Opracowała strategię bitwy. Podzieliła mieszkańców na oddziały i przydzieliła im miejsca, z których mieli atakować. Przygotowania do buntu szły wielką parą. W wigilię rewolucji pewien bogaty obywatel zaprowadził Arys do skarbcza pod ziemią i pokazał górę złota. Obiecał jej, że wszystko to dostanie. Widok skarbu nie zrobił na kobiecie wrażenia, z obojętnością oświadczyła, że nie zależy jej na bogactwie, ma inny cel.

Bunt rozpoczął się następnego dnia. Farmerzy, wieśniacy, rzemieślnicy i wszyscy inni obywatele uzbrojeni w topory, łuki i kosy ruszyli na pałac królewski z uśmiechami na twarzach i nadzieją w sercach. Arys obserwowała przebieg boju ze wzgórze. Wzniosła toast „za wolność wyboru”.